

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

Tłum. z francuskiego.

23

Vanesco zbladł gwałtownie, jak gdyby miał zemdleć. Opadł bezsilnie na poduszki i zamknął oczy. Ale szybko zapanował nad tą przejściową słabością i rzekł spokojnym głosem:

— Dziękuję panu! Dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jaką mi pan oddaje tem przysługę. Dzięki panu będę mógł przynajmniej umrzeć spokojnie... Ale nie mam czasu do stracenia. Chcę pana prosić jeszcze o jedno: niech pan będzie łaskaw dać znać szefowi bezpieczeństwa, że muszę z nim pomówić, w bardzo ważnej sprawie.

— Stanie się zadość pańskiemu życzeniu, — odparł poprostu lekarz więzienny.

ROZDZIAŁ XVIII

Prawda o Fabrykancie mumii.

Kiedy pan Ducroc przybył do więzienia koło wieczora, zastał doktora Vanesco w tak opłakanym stanie, iż nie mógł powstrzymać się od wzruszenia. Ale Vanesco ujrawszy go, opanował osłabienie i zdawał się odzyskiwać dawną energię. Podniósł się przy pomocy felczera na posłaniu i rzekł słabym głosem:

— Proszę mi darować, panie szefie bezpieczeństwa, że pana trudziłem! Pocieszam się, że to czynię po raz ostatni. Dziękuję też, iż pan zechciał mnie wysłuchać. Zdaje mi się, że po rozmowie z panem będę mógł umrzeć spokojnie. Chcę panu zrobić wyznanie wszystkich moich zbrodni.

— Czy nie lepiejby było odłożyć to na później, kiedy pan będzie się czuł lepiej?

— Nie będę się już czuł lepiej, — rzekł Vanesco.

— Jutro już może nie będę w stanie mówić. Dlatego też chcę dzisiaj wszystko wyznać i prosić pana o przebaczenie.

— Ach, naturalnie, przebaczam panu wszystko, — odparł pan Ducroc, wyjmując z kieszeni tabakierkę, bez której nie mógł się obejść w chwilach wzruszających. — Jestem zdania, że nie można niczego odmawiać umierającemu, choćby to był największy zbrodniarz na ziemi... Zwłaszcza, gdy żałuje swych przewinień.

— Dziękuję, — westchnął z ulgą Vanesco i lzy zabłysły mu w oczach. — A teraz, co pan chce wiedzieć?

Pan Ducroc zamyślił się na chwilę, uderzając palcami w tabakierkę; po czym rzekł:

— Przyznaję, że najbardziej mnie zaintrygowało tajemnicze zniknięcie Bridgetona.

— Tajemnicze? — zapytał Vanesco z bolesnym uśmiechem. — Zaraz pan się przekona, że to było niesłychanie proste... A najpierw muszę panu dać wyjaśnienie co do mojej głównej współniczki.

— Brunetka z zielonemi oczyma? — zapytał żywo pan Ducroc.

— Tak, nazywała się ona Georgette Lasnier. Była córką Francuza i Niemki, a dzieciństwo swe spędziła w Ameryce. Dlatego też tak dobrze mówiła wszystkimi tymi językami i niepodobna było rozróżnić, który był jej rodowitym. Do Paryża przyjechała ze swą ciotką.

Vanesco zatrzymał się zmęczony.

— Niech pan mówi dalej, — rzekł pan Ducroc z niecierpliwością.

— Zaraz po przybyciu do Paryża Georgetta ciężko zachorowała. Wezwano mnie do niej. Przed paru miesiącami właśnie zdałem doktorat; byłem młody — piękność młodej dziewczyny olśniła mnie. Pielęgnowałem ją z całą starannością, a po wyleczeniu poprosiłem o rękę. Zostałem przyjęty z entuzjazmem. Ale ojciec mój w żaden sposób nie

chciał się zgodzić, więc wzięliśmy ślub cywilny w Londynie.

Vanesco znowu się zatrzymał, z trudnością łapiąc oddech. Felczer podał mu szklankę z lekarstwem. Chory wypił parę łyków.

— Dziękuję, teraz mi lepiej, — ciągnął dalej. — To mnie zgubiło. Z początku mieszkaliśmy osobno, gdyż obawiałem się, iż moja rodzina dowie się o naszym związku. Jednakże mogliśmy być bardzo szczęśliwi: ubóstwiałem moją żonę, przytem miałem niezłą klientelę, żyliśmy dostatnio. Ale im więcej pieniędzy miałem, tem więcej ich potrzebowałem; przytem byłem graczem; wieczory, a czasem i noce spędzałem w jaskiniach gry. Zacząłem przegrywać. Usiłowałem zwalczyć w sobie tę namietność, ale nie udało mi się. W tym też czasie zrobiłem pewne odkrycie, które właściwie popchnęło mnie na drogę zbrodni. Zawsze zajmował mnie bardzo hipnotyzm. W żonie znalazłem medyum wprost niesłychane; zacząłem się nią posługiwać dla zdobycia pieniędzy...

— Ale zniknięcie Bridgetona? — zawołał pan Ducroc z niecierpliwością.



Ręce mu opadły, wzrok utkwiał nieruchomo w jednym punkcie.

— Przyjdziemy do tego, — odparł Vanesco. — Miałem współnika, który jako komiwojażer wynajmował dwa pokoje na piątym piętrze w domu przy ulicy Cambon. Niech się pan spyta odźwierną o pana Brindorge. Myślę, że nie zapomiała o nim, bo to był jej ulubiony lokator. Otóż do mieszkania tego pana przenieśliśmy ciało Bridgetona i tam pozostawiliśmy je, dopóki komisarz nie opieczętował jego mieszkania. Gdy te formalności były już załatwione, przenieśliśmy ciało Bridgetona z powrotem i umieściliśmy je w szafie.

— A, — rzekł pan Ducroc ze skrzywieniem, — więc to tak było! Ale, — zauważył zaraz, — jeśli pan miał taki wpływ na tę kobietę, dlaczegoż ona później...

— Przyszła do pana biura, — zakończył Vanesco. — To bardzo proste. Dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu wstrząśnieniu żona moja odzyskała własną wolę. Bezpośrednio powodem tego było, iż zobaczyła w jakimś piśmie fotografię trupa Bridgetona. Przyszedłem wtedy właśnie do niej; była jak szalona. Wyrwała mi się, skoczyła do dorożki, krzycząc, że jedzie mnie zadenuncyować. Podążyłem za nią, resztę pan wie. Stała się zaledwie niebezpieczną. Przeszkodziłem jej mówić i kazałem, żeby połknęła

truciznę, którą dałem jej niegdyś i którą zawsze nosiła przy sobie...

Te ostatnie słowa Vanesco wymówił tak cicho, że pan Ducroc raczej domyślił się ich, niż usłyszał. Widać było jednak, iż chce powiedzieć jeszcze coś.

— Ja... — zaczął ze strasznym wysiłkiem. Lecz nie miał już sił skończyć rozpoczętego zdania. Był zupełnie wyczerpany długim mówieniem.

Podniósł rękę do piersi i zaczął rozdzierać bieleznię.

— Duszę się!.. Duszę się!.. — krzyczał... — Na pomoc! Du...

Raptem uspokoił się. Ręce mu opadły; wzrok utkwiał nieruchomo w jednym punkcie; pot zaczął mu ściekać z czoła. Zdawało się, iż ulatuje już ostatnie tchnienie życia. Przyskoczył felczer, chwycił za puls chorego, ale nic nie mógł wyczuć; przyłożył mu ucho do piersi, ale nie słyszał bicia serca. Podniósł głowę, krzywiąc się w sposób nie zwiastujący nic dobrego.

— Czy umarł? — zapytał pan Ducroc przestraszony i zawiedziony zarazem, gdyż spodziewał się usłyszeć więcej interesujących szczegółów.

Felczer pokiwał głową nie odpowiadając, przyłożył do ust chorego małe lusterko. Obejrawszy je potem starannie, rzekł:

— Nie, ale niewiele mu brakuje i jeżeli pan go chce o co spytać, musi się pan spieszyć, gdyż lada chwila może skończyć.

Mówiąc to nalał do szklanki lekarstwa, otworzył usta chorego i zmusił go do wypicia.

Skutek był nadzwyczajny. Vanesco wstrząsnął się cały, poczem otworzył oczy i spojrzał po obecnych. Wreszcie odezwał się słabym głosem:

— Dziękuję; myślałem, że to już koniec, ale błagam pana, niech mi pan da coś na podtrzymanie sił, bo czuję się zupełnie wyczerpany.

— Chciałbym jeszcze mówić z pół godziny — o nic więcej nie proszę. Pół godziny wystarczy mi.

Gdy felczer zajął się przygotowaniem nowej dozy lekarstwa, chory zwrócił się do pana Ducroc:

— Na czym zatrzymaliśmy się?

— Opowiedział mi pan właśnie przyczynę śmierci kobiety o zielonych oczach... Ale pan jest zanadto osłabiony, nie chcę więc nalegać...

— Nie, nie — zawołał Vanesco w podnieceniu — musi pan wiedzieć wszystko — wszystko panu opowiem. Muszę wszystko wyznać, inaczej nie mógłbym umrzeć spokojnie. Co chce pan wiedzieć teraz?

— W jaki sposób pan dokonywał tych sensacyjnych „zniknięć“ z domku przy ulicy św. Jakóba?

— Sebastyan Blanc miał słuszość. Niemiec Leyman był absolutnie niewinny, ślady prowadzące przez jego ogród — ja porobiłem. Co do pani Jude, to była ona istotnie chora na zanik pamięci, ale prócz tego znajdowała się pod wpływem hipnotycznym

i najsrozsze tortury nie byłyby w stanie zmusić ją do wyznania prawdy.

— Tak właśnie myślałem — mruknął pan Ducroc.

— Może chce pan wiedzieć, w jaki sposób baron Collet, znany z czystości obyczajów — zgodził się na przybycie do tego domku na schadzkę? To także bardzo proste. Baron miał córkę naturalną — do której Georgetta była bardzo podobną. Idąc na schadzkę, przypuszczał, że zobaczy córkę, o której śmierci nie wiedział. Dodam jeszcze, że córka, jak i baron, była Alzatką, to tłumaczy niemiecką rozmowę, którą podsłuchiwał Staub.

— No, a książę Burg Hausen?

— Książę poznał Georgettę w pewnym domu i od razu zakochał się w niej do szaleństwa. Z początku widywali się w domku w Neuilly, który dla niej wynajął, potem Georgetta wyznaczyła mu schadzkę przy ulicy św. Jakóba.

— Ależ — zauważył pan Ducroc — ten dom był strzeżony przez policję.

— Ba! jeden agent, którego wcześniej uspiłimy narkotykiem.

— Biedny chłopiec! — pomyślał pan Ducroc, — a ja go posadziłem o pijaństwo.

— To też — ciągnął Vanesco — byliśmy pa